



POMYSŁY NA
LEPSZE JUTRO

Sławomir Magala

Indeks ludzkiej godności, zaproponowany przez katalońskiego socjologa, Manuela Castellsa, oraz fińskiego filozofa internetu, Pekkę Himanena, to tylko jedna z propozycji skierowania ludzkich spojrzeń ku temu, co istotne, gdy decydujemy o tym, jak ułatwiać ludziom życie, czyli prowadzić politykę, a więc — dbać o postęp, a nie ma żadnego postępu bez poszanowania, tak jest, bez poszanowania ludzkiej godności. Co do tego humaniści są zgodni: Deirdre McCloskey przygotowuje trzeci tom komentarzy, po *Burżuazyjnych cnotach*¹ oraz *Burżuazyjnej godności*², do *Teorii uczuć moralnych* Adama Smitha³ wydaje *Burżuazyjną równość*. Richard Sennett⁴ pisze o godności dobrego rzemieślnika oraz o życiu godziwym w sensownej wspólnocie, a autorzy medytacji o życiu godziwym⁵ (Nussbaum, Sandel, Gorz, Therborn, Taylor, McIntyre) idą raczej śladami Rawlsa niż Che Guevary. Nie wiem, czy Castells zdaje sobie sprawę z tego, że na pomniku poległych stoczniovców, zastrzelonych na rozkaz Wojciecha Jaruzelskiego w grudniu 1970 roku, znajduje się napis o tym, że polegli, aby ludzie mogli żyć godnie. Ale należy mu o tym powiedzieć, podobnie jak Himanenowi. Polacy jako społeczeństwo, bo nie jako marionetkowe państwo, na terenie którego rosyjscy wojskowi ukrywali pociski z głowicami jądrowymi, o godność się upominali (by wspomnieć wydarzenia z lat 1956, 1968, 1970, 1976 oraz 1980 roku). Nie musieliśmy czytać Amartii Sena⁶ — bo i bez jego porad, dzięki wytrwałej walce o własną godność — wiedzieliśmy, o co chodzi w awangardzie postępowej ludzkości. Czy nadal w niej jesteśmy? Castells oraz Himanen przewidują obniżenie rankingu społeczeństw zniewolonych przez państwa, których rządy poniżają obywateli oraz pozwalają poniżać obywateli propagandowo skorumpowanym mediom. Pora zatem odczytać Sena w naszej tradycji, a potem podzielić się swymi przemyśleniami w niezależnych mediach.

Ale zacznijmy od początku (indeks ludzkiej godności znajduje się na końcu książki). Autorzy zwracają uwagę na fakt, że całkowita niemal digitalizacja informacji (97% w 2007 roku) sprawia, że jej, czyli informacji, dostępność dramatycznie rośnie. Dostępność ta sama w sobie nie miałaby większego znaczenia, gdyby nie uogólniona zdolność do przedłużonego, przyspieszonego oraz zróżnicowanego uczenia się, która powoduje, iż większość z nas zmuszona jest do wypracowywania strategii uczenia się permanentnego (przez całe życie — piszę o tym z zadowoleniem, bo wymogi „doksztatu” bardzo mojej grupie zawodowej pomagają w znalezieniu płatnej pracy).

1 D. McCloskey, *The Bourgeois Virtues. Ethics for an Age of Commerce*, Chicago University Press, Chicago–London 2006.

2 D. McCloskey, *Bourgeois Dignity. Why Economics Can't Explain the Modern World*, Chicago–London 2010.

3 A. Smith, *Teoria uczuć moralnych*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1989.

4 R. Sennet, *The Craftsman*, Allen Lane/Penguin, London–New York, 2008.

5 M.C. Nussbaum, *Not for Profit. Why Democracy Needs Humanities*, Princeton University Press, Princeton–London, 2010; M. Sandel, *What Money Can't Buy. The Moral Limits of the Markets*, Penguin, London–New York, 2012; A. Gorz, *The Immaterial. Knowledge. Value and Capital*, Seagull Books, London–New York–Kalkuta 2010; G. Therborn, *The Killing Fields of Inequality*, Polity, Cambridge–Malden 2013; Ch. Taylor, *Modern Social Imaginaries*, Duke University Press, Durham–London 2004; A. McIntyre, *After Virtue. A Study in Moral Theory*, The University of Notre Dame Press, Notre Dame 2014.

6 A.K. Sen, *Rozwój i wolność*, Zysk i S-ka, Warszawa 2002. Tytuł oryginalny — *Development as freedom* — winien być tłumaczony jako *Rozwój jako wolność*; ta wersja lepiej oddaje brzmienie oryginału, jednak na potrzeby niniejszego omówienia pozostawię przekład tytułu zaproponowany przez polskiego wydawcę.

Uczenia się — pociągającego za sobą bardzo szybki rozwój bardzo wysokiej jakości oświaty. Przede wszystkim oświaty na dystans (piszę o tym z mniejszym zachwytem, bo pierwszą ofiarą masowej oświaty online będą zapewne akademickie, czyli na przykład uniwersyteckie, biurokracje, na których łonie wyrzewamy zazwyczaj swoją karierę zawodową). Pochwałę akademickich biurokracji głoszą dzisiaj wszyscy: Fareed Zakaria napisał właśnie pean na cześć klasycznego humanistycznego wykształcenia, zatytułowany *W obronie humanistycznej oświaty (In Defense of Liberal Education)*⁷ — celowo tłumacząc *liberal*, wywodzące się ze zwrotu *liberal arts education*, jako „oświatę humanistyczną”, a nie jako „liberalne wykształcenie”, bo *liberal* oznacza tu humanistyczną swobodę doboru metod oraz zagadnień, nie zaś opcję polityczną). Zakaria nie mógł przewidzieć, że rząd japoński zlikwiduje we wrześniu 2015 roku humanistykę na uczelniach wyższych (chcą mieć więcej inżynierów), ale przewidział, że wzrośnie popularność masowych i elitarnych wykładów na odległość (znane pod skrótową nazwą MOOC, czyli *Massive Open Online Courses*). Zdaje też sobie sprawę z tego, że odpowiedzialne administracje państwowe muszą sięgać po *open sourcing*, *crowd sourcing* oraz najróżniejsze powiązania sieciowe, że nawet brukselska biurokracja — co prawda niechętnie — powołała do życia program STARK, aby obywatele mogli się z rządami porozumiewać online. Castells z Himanenem (wspomagani przez Izydorę Chacon) zauważają jednak smętnie, że właśnie biurokracja oświatowa należy do najbardziej zacofanych oraz konserwatywnych i nieudolnych (chodzi nie tylko o same instytucje, ale o kulturę w tych urzędach).

Castells i Himanen najpierw szkicują wizję globalnej ery informatycznej, a potem analizują konkretne empiryczne przypadki prób wykorzystania tej informatycznej (r)ewolucji w różnych działaniach, przeważnie ekonomicznych. Wybierają kilka, wszystkie dość trafnie, choć nie wszystkie są równie aktualne dla polskiego czytelnika. Za pierwszy przykład obierają sławną Krzemową Dolinę. To tutaj Elisabeth Holmes została miliarderką, gdy się okazało, że na podstawie jednej kropli krwi z palca potrafi zebrać tyle samo informacji, co laboratoria z całej strzykawki, a w dodatku może to zrobić znacznie szybciej. Zuckerberg wyciągnął nas wszystkich na prywatkę do Harvardu. Za drugi — społeczeństwo fińskie, które postawiło na oświatę oraz na przeszkolenie i przekształcenie drwali w dizajnerów telefonii komórkowej pod sztandarami Nokii. Za trzeci — społeczeństwo chińskie, które z telefonii komórkowej oraz internetu zrobiło w najkrótszym czasie użytek, mimo daleko idącej kontroli monopartyjnego państwa na usługach elity komunistycznej władzy. A czym zajmują się Chińczycy online? Najszybszy wzrost odnotowano w latach 2009–2011, kiedy to najpopularniejsze stały się wiadomości SMS oraz inne formy *instant messaging* (80,9% użytkowników sieci), poszukiwanie informacji (79,4%),

Pora zatem odczytać
Sena w naszej tradycji,
a potem podzielić się
swymi przemyśleniami
w niezależnych mediach

7 F. Zakaria, *In Defense of Liberal Education*, W.W. Norton & Company, New York 2015.

wiadomości (71,5%), *online video* (63,4%) oraz gry w wirtualnej przestrzeni (63,2%). Ogólnie rzecz biorąc, powiadają autorzy: „Chińscy obywatele sieci (*netizens*) są zakorzenieni w kryzysie kultury, poddanej wystawieniu sprawiedliwości na sprzedaż oraz manifestującej zanik zaufania na wszystkich poziomach” (s. 139).

Zdolność do uczenia się — pociągającego za sobą bardzo szybki rozwój bardzo wysokiej jakości oświaty. Przede wszystkim oświaty na dystans

Co prawda siła państwowych represji sprawiła, że połowa chińskich użytkowników sieci straciła nadzieję, że internet ich wyzwoli (*empowerment* to na razie puste hasło), a wspomniana kultura wzajemnej nieufności utrudniła budowanie sieci poziomych do ewentualnej mobilizacji nadziei, ale nadziei nie brakuje. Zaś nadzieja, jak mawiają specjaliści od badań opinii publicznej oraz wyszukiwania narracji uciśnionych (np. Studs Terkel) — umiera ostatnia.

Kolejny wybór pada na Republikę Południowej Afryki, która powinna być dla polskiego czytelnika bardzo ciekawa. W warunkach państwowego komunizmu istniał faktyczny apartheid: tylko kasta dzieci reżimu (nie tylko genetycznych, także adoptowanych) mogła rządzić, fachowcy musieli się zadowolić rolami kamerdynerów od legitymizacji posunięć władzy w mediach, a gdy zdradzali autentyczne ambicje naprawy państwa, to ich usuwano: najpierw umieszczano w więzieniach, a potem zmuszano do emigracji. W naukach społecznych na przykład Adam Podgórecki musiał się wynieść do Ottawy, bo chciał zracjonalizować socjotechniki i uwolnić aparat państwowy spod dyktatury osób o wąskich horyzontach. W Afryce Południowej zbudowanie informatycznego państwa dobrobytu jest utrudnione, ponieważ system edukacyjny powiela dawne nierówności oraz nie stwarza ambitnym i ubogim Afrykanom „autostrad” ułatwiających zdobycie wykształcenia uniwersyteckiego. Ogólnie rzecz ujmując: reprodukuje niewykształconą siłę roboczą do kopalń oraz winnic, a nie do Krzemowych Dolin albo fabryk Nokii. Mało tego, subsydia dla najuboższych są przyznawane w sposób, który materialnie pomaga, ale społecznie oraz humanistycznie poniża (sędzina, która odbiera dziecko matce w polskim sądzie to także przykład analogicznej patologii państwa). Jak konkludują autorzy tego rozdziału — Nico Cloete oraz Allison Gillwald:

Informacjonalizmu nie da się zbudować bez synergicznej zależności między dynamicznym, informatycznym sektorem rozwojowym — łącznie z zaawansowanymi usługami i działalnością gospodarczą wymagającą zaawansowanej wiedzy — a procesami ludzkiego rozwoju, do których należy trwałość środowiska oraz wyższy poziom udziału w oświacie trzeciego stopnia (czyli na poziomie uniwersyteckim — S.M.). Sukces współczesnych gospodarek zależy od bazy wiedzy, jakości siły roboczej, stabilizacji społecznej oraz sprawności zarządzania (s. 172).

Autorzy przedstawili także Chile oraz Kostarykę, ale dla uproszczenia pominięte te analizy, skupiając się na podsumowującym rozdziale Fernando Calderona (Argentyńczyk, socjolog z Buenos Aires, który był także ekspertem ONZ-owskiego

programu UNDP oraz pracował w najciekawszej z punktu widzenia walki z neoliberalnymi kradzieżami wody boliwijskiej Cochabambie), w którym autor stwierdza, że najpilniejszym zadaniem rozwoju ludzkich społeczności w chwili obecnej jest zapewnienie ludziom suwerenności oraz poszanowanie ich godności. Calderon przywołuje definicję Sena z *Rozwoju i wolności*:

Prawdziwa wolność, zdaniem Sena, wiąże się z rozwijaniem przez ludzi własnych możliwości i umiejętności, po to, by prowadzić życie, do jakiego tęsknią, do którego dążą, wiedzeni swoimi aspiracjami. Edukacja oraz wiedza to podstawa, nie tylko demokratycznego społeczeństwa, wydajności, zatrudnienia, oraz równości, ale także podstawa wyboru takiego rodzaju życia, jakie jednostka chciałaby wieść. Dlatego oświata, wymienione wyżej wybory oraz rozwój wiążą się ze sobą jak najściślej, zwłaszcza w kontekście szybkich zmian globalnych oraz rosnącej roli społeczeństwa informatycznego (s. 251).

Jeśli czytając te słowa skojarzymy sobie doniosłość walki polskich rodziców z nieudolną minister oświaty, jeśli sobie przypomnimy bezsensownie utrudniającą dzieciom, nauczycielom oraz rodzicom życie reformę szkoły podstawowej, przeprowadzoną po całkowitym zlekceważeniu milionów głosów obywateli, to najprawdopodobniej lepiej zrozumiemy doniosłość propozycji Calderona, Castellsa oraz Himanena. Calderon pisze, że rozszerzanie statusu obywatela na coraz to nowe grupy nuworyszów, przybyszów, barbarzyńców, klas niższych i dziwacznych mniejszości jest ważną gwarancją równości. Zgadza się. Od dawna sądziłem, że najwyższy czas mieć prawo głosu tam, gdzie się mieszka, pracuje, przebywa albo emigruje, a nawet wpada na chwilę. Niemniej w argumentacji Calderona, który dość dobrze streszcza politycznie poprawny pogląd elity intelektualno-urzędniczej ONZ, UNESCO, UE albo rządowych *think tanków*, jest pewna luka. Nie ma żadnych wskazówek dotyczących tego, co mianowicie powinien zrobić uczciwy obywatel, jeśli zauważy, że pozornie walczące o mniejszość zręczne sojusze polityków z mediami potrafią zakneblować inne mniejszości, albo nawet większości. Najczęściej takie mnożenie niszowych *underdogów* służy politycznym establishmentom do neutralizacji dużych grup uciskanej ludności (np. nagłaśniając smutny los homoseksualistów oraz lesbijek można nie dopuścić do głosu pracowniczej strony walki klas). Ład ugruntowany w wielu instytucjach rządowych nie ma monopolu na takie ideologiczne przekręty nowomowy oraz nowoczynu. Graeber analizował to samo zjawisko wśród komunizujących albo anarchizujących mafii żerujących na demonstrantach spod znaku Occupy Wall Street w parku Zucottiego na dolnym Manhattanie, a siedemdziesiąt lat wcześniej podobne obserwacje poczynił Orwell w republikańskiej Barcelonie.

Wróćmy jednak do nowej próby zrozumienia tego, na czym polega rozwój społeczny i jednostkowy w epoce zwanej coraz częściej informatyczną. Czy należy wierzyć prorokom informacjonalizmu? Prorocy nie mają najlepszej opinii. Himanen jest nieco bardziej podejrzany niż Castells. Ten ostatni ma jednak — mimo utopijnych skłonności — całkiem porządne referencje akademickie (wykładał zarówno

w Barcelonie, jak i w San Francisco), natomiast Himanen oscyluje na marginesach (zdaniem dwójki fińskich dziennikarzy, Anu Silfverberga oraz Johanny Vehkoo, posługuje się bezprawnie tytułem profesora, a w dodatku wyniki, do których doszedł za rządowe pieniądze pozostawiają, delikatnie mówiąc, wiele do życzenia). Podobał mi się jego (czyli Himanena) pomysł z pracy doktorskiej (złożonej na wydziale filozofii Uniwersytetu w Helsinkach), która jest w gruncie rzeczy sokratejskim dialogiem. Wdowa po Sokratesie, Ksantypa, opowiada Finowi, *porte-parole* autora, o tym, jak to Sokrates uciekł z piekła, zapisał się na studia filozoficzne w Helsinkach, ale po trzydniowej debacie z tamtejszymi filozofami i tak go skazano na śmierć. Sokrates miał rozmawiać z Cyborgiem (Stephen Hawking), papieżem (Jan Paweł II), Unabomberem (Theodore Kaczynski) oraz Madonną (Madonną Ciccone, nie Matką Boską). Jego bardziej znana książka, *Etyka hakerska a duch epoki informatycznej*⁸, jest znacznie nudniejsza (lepiej już przeczytać *Kto jest właścicielem przyszłości* Jarona Laniera⁹), ale przewija się w niej dość godna przypomnienia intuicja, że prawa autorskie, patenty czy własność intelektualna Disneya albo Microsoftu, to śmieszne przesady całkiem dosłownie ćmiące światło postępu oraz rozwoju wiedzy. Licencje Microsoftu długo sobie nie pożyją, a jeśli pożyją, to raczej biada nam wszystkim. Tak czy owak, przekonał norweskiego następcę tronu, księcia Haakona, oraz Johna Hope'a Bryanta, aby wraz z nim założyli w 2006 roku apolityczną organizację pod nazwą Global Dignity (od 2008 roku organizacja obchodzi światowy dzień globalnej godności — 20 października).

Łatwiej międzynarodowy dzień globalnej godności obejść niż o globalną równość zaważać. Jak pamiętamy, polscy komuniści obchodzili latami międzynarodowy dzień kobiet, ale polegało to głównie na tym, że panowie kierownicy i dyrektorzy wręczali tego dnia swoim pracownikom i sekretarkom symboliczne goździki, po czym wyzysk kobiet-pracownic przez mężczyzn-kierowników wracał do normy. I to się właściwie przyjęło i trwa po dzień dzisiejszy. Czy z godnością i rozwojem ludzkich możliwości będzie inaczej? Oddajmy głos Calderonowi w rozdziale z wnioskami:

Podstawowa różnica między szkołami wzrostu gospodarczego a rozwojem ludzkim polega na tym, że w tej pierwszej chodzi o podnoszenie dochodów — mierzone poprzez Produkt Narodowy Brutto — a w szkole ludzkiego rozwoju chodzi o poszerzenie wszystkich możliwych wyborów jednostki, tak ekonomicznych, jak społecznych, kulturalnych albo politycznych. Wyższe dochody dają większe możliwości, ale nie automatycznie. W szczególności dochody mogą być nierównomiernie rozłożone w społeczeństwie, co znacznie ograniczy możliwości wyboru u ludzi z niskimi dochodami. Ale podstawowej przyczyny, dla której wzrost dochodu nie musi się przekładać na zwiększone szanse na ludzki rozwój, upatrywać należy w przyjętych przez społeczeństwo priorytetach (s. 263).

8 P. Himanen, *The Hacker Ethic and the Spirit of the Information Age*, Random House, New York 2001.

9 J. Lanier, *Who Owns the Future?*, Penguin, Londyn–New York 2013.

Calderon dorzuca drobną ilustrację: przypomina, że dwustu najbogatszych ludzi na świecie gromadzi 47% dochodów uzyskiwanych przez wszystkich żyjących i pracujących obecnie ludzi, czyli około 7 miliardów osób. Gdyby ci najbogatsi (wspomniana dwusetka) corocznie przekazywali 1% swoich dochodów, każdy żywy człowiek na świecie miałby dostęp do darmowej oświaty. Polityczna decyzja w skali globalnej jest w stanie do tego doprowadzić. Ale kto miałby ją podjąć?

Może wystarczy najbogatszym przypomnieć, że najbogatsze oraz najbardziej demokratyczne społeczeństwa świata — powiedzmy: szwedzkie, amerykańskie, szwajcarskie albo norweskie — wypuszczają do atmosfery czterokrotnie więcej dwutlenku węgla niż biedniejsze, a nawet 30 razy więcej niż najbiedniejsze? Czy zawstydzą się na tyle, by przestać eksportować toksyczne odpady do krajów kiedyś określanych mianem Trzeciego Świata? Na tyle, żeby ułatwić masom tegoż świata dostęp do oświaty?

Wątpię. Nie jestem cynikiem i zgadzam się z Calderonem, a także z Castellem i Himanenem, że „godność to globalnie jednocząca wartość w wielokulturowym świecie” (s. 296). Lecz nie sądzę, by wystarczyło tupnąć i ogłosić, że od dzisiaj nie ma trzech wartości europejskiego Oświecenia, bo to za trudne, a miejsce wolności, równości i braterstwa zajęła godność. I powinna wystarczyć.

Chciałbym się mylić. Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że autorzy co prawda często wspominają epokę informatyczną, mówią wręcz o informacjonalizmie jako następcy industrializmu, ale niezbyt wnikliwie analizują kształtujące się na naszych oczach jej, czyli tej informatycznej epoki, kontynenty i archipelagi. To pierwszy zarzut wobec autorów. Może należy czytelnikom Catsellasa/Himanena dyskretnie wskazać kilka lektur uzupełniających. Na przykład spokojne studium Cesara Hidalgo *Why Information Grows. The Evolution of Order from Atoms to Economies*¹⁰, w którym pokazuje nam, jak sobie poradzić z entropią (oraz uniknąć samobójstwa, które popełnił Boltzman). Na przykład pogodny traktat *The Democracy of Knowledge* Daniela Innerarity¹¹, z którego się dowiemy, jak regulować walkę władzy z wiedzą i odwrotnie. Dla starszych albo zaawansowanych może Richard Biernacki¹². Biernacki pisze o manipulowaniu abstrakcyjnym opakowywaniem oraz znakowaniem wiedzy naukowej przed puszczaniem jej w obieg, ale liczę na to, że ktoś wykorzysta to dla krytycznej analizy politycznego PR-u.

Łatwiej międzynarodowy
dzień globalnej godności
obejść niż o globalną
równość zaważać

¹⁰ C. Hidalgo, *Why Information Grows. The Evolution of Order from Atoms to Economies*, Basic, New York 2015.

¹¹ D. Innerarity, *The Democracy of Knowledge*, Bloomsbury, Londyn–New York 2013.

¹² R. Biernacki, *Reinventing Evidence in Social Inquiry. Decoding Facts and Variables*, Palgrave Macmillan, New York 2012.

Ale sama lektura uzupełniająca nie wystarczy do zbudowania umysłowego teatru, w którym można odegrać scenę rozprawy przed trybunałem wyobraźni. Czy oskarżona o nadejście z siłą ewolucyjnej konieczności dziejowej epoka informatyczna zechce wstać? Sądy idą jeden za drugim. Sądowi polskiej opinii publicznej warto podsunąć poniższe argumenty.

Po pierwsze, dostęp do sieci rośnie lawinowo, miliony ludzi zyskują możliwość szybkiego dostępu do rosnących zasobów naszej wiedzy, ale nie oznacza to, że wszyscy ludzie wszędzie na świecie mają już inteligentny telefon komórkowy, iPada, laptopa albo komputer stołowy ze spolegliwym łączem. Miliardy jeszcze nie mają, miliardy żyją poza siecią. To prawda, że taniej i szybciej uzyskać telefon komórkowy niż wodę zdatną do picia, sensowną pracę, wygodne mieszkanie, czyste powietrze albo wyższe wykształcenie; to prawda, że tzw. *social media* pozwalają skrzyknąć niezadowolonych w Barcelonie, Warszawie albo Kairze. To prawda, że w Barcelonie wybrano panią burmistrz, która jest demokratyczną antytezą swojej warszawskiej odpowiedniczki. To prawda, że w Warszawie więcej ludzi protestowało przeciw

dokumentowi prawnemu ACTA niż broniło gejowskiej tęczy wzniesionej przed kościołem. To prawda, że w Kairze zmobilizowano się trzykrotnie: raz, żeby obalić Mubaraka, raz, żeby obalić Morsiego, a raz, żeby wojskowi nie mogli odbudować dyktatury. We wszystkich tych przypadkach spontaniczna mobilizacja świadomych obywateli w sieci odegrała ważną rolę. Ale miliardy są jeszcze codziennie odzieranane z godności, a miliony muszą uciekać w obawie o życie swoje oraz najbliższych. Stajemy się zatem powoli obywatelami sieci (*netizenami*), ale *pecking order* starego świata został zachowany, a establishment trzyma się

krzepko. Dlatego, nawiasem mówiąc, miliony emigrantów były do przewidzenia, a kryzys na całej południowej granicy dobrobytu, a więc w Europie od Gibraltaru po Bułgarię, a w Północnej Ameryce wzdłuż granicy Meksyku ze Stanami Zjednoczonymi, jest permanentny i raczej się zaostrza, niż maleje (bo na ekranach telefonów komórkowych albo telewizorów widać szybciej różnice w jakości życia, niż to miało miejsce kiedyś). Ideologiczne zakłęcia politycznie poprawnych demagogów nie pomagają w wynegocjowaniu nowej umowy społecznej, która wymaga odwagi spojrzenia prawdzie w oczy. Prawda jest niestety neokolonialna: synowie Mitteranda oraz Thatcher handlowali bronią w Afryce, zamiast inwestować w trwałą rozwój — ot, choćby w ramach pokuty za grzechy kolonialnej grabieży. Rosja też wysłała na Ukrainę awanturników i wojsko, zamiast negocjować wysokość odszkodowania za sowieckie ludobójstwo znane jako „stalinowska organizacja głodu na Ukrainie” z lat trzydziestych. To, co się z tego układu sił wyłania, optymizmem nie napawa.

Doprowadza mnie to do drugiego argumentu przeciwko pośpiesznej zgodzie na ideologię jedynie słusznej, czyli wielce postępowej epoki informatycznej, która ma przynieść róg obfitości, wirtualne królestwo wolnych obywateli na ziemi oraz nakarmić, napoić i wykształcić spragnione oświecenia masy. Technologia

Oplótszy planetę
zaczynamy się po
omacku orientować,
co z tymi technologiami,
i w czym interesie,
da się zrobić

jest ważna, ale samo pojawienie się nowej technologii nie przesądza o kierunku społecznego rozwoju. Chińczycy wymyślili druk wcześniej od Europejczyków, ale ambicją kasty mandaryńskiej było gromadzenie bibliotecznych zbiorów na wyspach, aby jak najmniej ludzi mogło do książek dotrzeć albo je, broń Boże, pożyczyć. Europejczycy mieli łut historycznego szczęścia, bo akurat przesadna pogoń kleru za dobrami doczesnymi doprowadziła masy do wrzenia — druk okazał się przydatny dla protestanckiej mobilizacji, co się potem opłaciło, bo upowszechniwszy pomysły religijne zaczęto upowszechniać wszystkie inne pomysły, w tym także naukowe, choć trwało to dłużej, niż sobie wyobrażają naiwni ateiści, którzy nie chcą przyznać, że intymne współzycie umysłowe religii z nauką nigdy nie zostało zerwane. Tak też jest z siecią digitalno-satelitarnych łącz. Oplótszy planetę zaczynamy się po omacku orientować, co z tymi technologiami, i w czyim interesie, da się zrobić. Nie jestem przesadnym wielbicielem Juliana Asange’a, odpowiedzialnego za Wikileaks, ale czytając transkrypcje rozmów, jakie prowadził na angielskiej wsi z szefami Google’a¹³, z przerażeniem patrzę na to, jak polska elita polityczna obeszała się z taśmami „od Sowy” (czekając, aż polski Asange wyląduje na Galapagos albo w ambasadzie Ekwadoru w Londynie).

Nie chciałbym jednak pozostawiać czytelnika bez cienia nadziei. Cienie są. Trzeci argument jest optymistyczny. Widzimy intelektualne sumienie nawet w akademickiej biurokracji. W mojej specjalizacji w ramach akademickiego podziału pracy pojawiają się takie pomysły, jak ten, który został opublikowany przez grupę badaczy zarządzania międzykulturowego pod tytułem *Naukowa troskliwa roztropność: podstawy przyszłych kierunków badawczych w dziedzinie międzynarodowego biznesu*¹⁴. Zdaniem autorów projekty badawcze w dziedzinie zarządzania międzynarodowym biznesem powinny odznaczać się:

- szerokim spojrzeniem, które łączy rygor z relewancją, czyli jest sprecyzowane oraz ma się do rzeczy,
- zdawaniem sprawy z czterech głównych sił kształtujących naszą rzeczywistość: zmian klimatycznych, globalizacji, nierówności oraz trwałej utrzymywalności (*sustainability*),
- naukową troskliwą roztropnością (modny wyraz — *mindfulness*), która pozwala formułować tematy badawcze. Naukowa troskliwa roztropność dyktuje podejście holistyczne, interdyscyplinarne, kontekstualne, co zmusza badaczy do korzystania z licznych perspektyw — przy czym poprawa społeczeństwa jest kryterium najważniejszym¹⁵.

¹³ J. Asange, *When Google Meets Wikileaks*, OR Books, New York–Londyn 2014.

¹⁴ N. Boyacigiller, Z. Aycan, M. Maznevski, M. Yoko Brannen, K. Jonsen, *The Past, Present and Future of International Business and Management*, „Advances in International Management”, vol.23, s. 43–69, Emerald 2010.

¹⁵ Tamże, s. 43.

Istotne jest wyliczenie głównych sił uznawanych za najważniejsze ruchy tektoniczne kontynentów oraz prądów rzeczywistości, a także podkreślenie etycznego wymiaru nauki współczesnej — badacze nie powinni tracić swojej ludzkiej godności oraz obywatelskiej postawy, lecz zawsze pytać *cui bono*? Brzmi to skromnie, ale przynajmniej może część moich kolegów po fachu nie da się sprowadzić do roli telewizyjnych kamerdynerów historii. Zawsze jakiś zysk. Moralny. Obywatelski. Godny.

